

KATARZYNA MAK

Jego 
WYSOKOŚĆ
*przez*³

Przypadkowy
dziedzic

edito
red

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Malwina Kozłowska

Korekta: Elżbieta Lipowska

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/jegwy3

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-3752-9

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Di

Doceniam fakt, że traktują mnie jak swoją, nawet jak rodzinę, ale chwilami czuję, że do nich nie pasuję. I wcale nie chodzi o różnice zewnętrzne – Sara odpowiednio o mnie zadbała i nauczyła wszystkiego, od *savoir-vivre*'u począwszy, a na trikach modowych skończywszy. Po prostu niekiedy odczuwam niedopasowanie, zwłaszcza w momentach takich jak ten. Na nic przekonywania Sary, że jest inaczej. Mam wrażenie, że mocno od nich odstaję. Szczególnie pod względem manier. Nie, nie jestem prostaczką – przynajmniej tak mi się wydaje – ale brakuje mi pokory, co niektórzy mogą odbierać jako brak dostatecznego szacunku wobec innych. Mniejsza o to. Jest, jak jest. Może nie tęskniłam za dawną sobą, ale doceniam fakt, że gdzieś głęboko drzemie we mnie moje prawdziwe ja.

Zjechała się cała rodzina i właśnie zebraliśmy się na uroczystym obiedzie. Wyprawiono go na cześć zmarłego seniora rodu, pana Liama. Dziś świętowałyby swoje pięćdziesiąte urodziny.

Nie poznałam go osobiście, ale słyszałam o nim różne anegdotki – zarówno te miłe, jak i mniej pochlebne. Podobno

miał dobre serce, ale i twardą rękę do interesów. Zresztą nie tylko do nich, do swoich wnuków także. Nie był przemocowy. Co to, to nie! Ale według samych *poszkodowanych* pan Kennedy potrafił nieźle się naprzykrzyć, ingerując w ich prywatne sprawy.

Najpierw wziął na celownik starszego z wnuków. Ponoć Liam trzymał się dzielnie, ale nawet tak opanowany człowiek chwilami miał dość. Aż dziw, że historia, w której senior rodu tak bardzo namieszał, że omal nie doprowadził do katastrofy, doczekała się happy endu. W moim odczuciu nie on jeden ponosił winę za rozwój wydarzeń, które dla Liama i Emmy mogły zakończyć się fatalnie. Trish, matka Em, a w przeszłości kochanka Liama seniora, była współodpowiedzialna równie mocno jak on, a może nawet bardziej. Ale teraz to już nieważne. Liczy się jedynie fakt, że wszystko dobrze się skończyło.

Wracając jednak do kontrowersyjnych pomysłów pana Kennedy'ego – kolejnym jego celem był oczywiście jego wieloletni pupilek Sam. Do dziś trudno mi uwierzyć w ten absurd, zwłaszcza że zrobił to pośmiertnie. Swoje żądania przedstawił w testamencie. Postawił lekkoducha Samuela pod ścianą i właściwie nie dał mu żadnego wyboru. Miał znaleźć dziewczynę i ją poślubić. W przeciwnym razie nie było mowy o należnej mu części spadku – mniej więcej tak to ujął.

Niepoważne, prawda?

Żądanie seniora rodu zakrawało na absurd, ale gdyby nie ono, pewnie Sam nigdy nie poznałby Sary. A to byłaby najstraszniejsza rzecz w dziejach ludzkości! Bo tych dwoje jest sobie pisanych – co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Podobnie jak co do tego, że Liam oraz jego mądra i naprawdę fantastyczna żona Emma, których połączyła intryga Trish oraz trudny charakter dziadka, także tworzą zgrany duet. Niezaprzeczalnie!

A to nasuwa pewne wnioski. Starszy pan potrafił nieźle namieszać, ale ostatecznie wychodziły z tego same dobre rzeczy.

„Ciekawe, co wymyśliłby innym razem, może nawet teraz, przy tym stole, w tym gronie? Gdyby oczywiście wciąż tu był” – przelatuje mi przez głowę z lekkim smutkiem.

Nie zdążę się jednak nad tym zastanowić, bo naraz z boku dochodzi mnie pytanie mojej przyjaciółki:

– Wszystko w porządku?

Natychmiast odwracam głowę i napotykam jej zatro-skane spojrzenie. Odpowiadam niepozornym, choć szczerym uśmiechem, kiwam lekko głową, po czym mówię:

– Tak. Wszystko okej. Po prostu się zamyśliłam.

– O czym tak szepczecie, dziewczęta? – Do rozmowy postanawia dołączyć Trish, wdowa po zmarłym jubilate.

Wiem, dziwne to, a nawet trochę popieprzone. Lecz prawdziwe! W skrócie wygląda to tak: Trish była kiedyś, przez krótki czas, żoną ojca Emmy, a ta wyszła za wnuka własnego ojca.

Nie mieści się w głowie, prawda?

No, mnie też początkowo wydawało się to wręcz niemoralne, choć wiele w życiu widziałam. Zdanie jednak zmieniłam, bo okazało się, że zarówno w żyłach Liama, jak i Samuela nie płynęła krew Kennedych. Byli adoptowani.

Uff.

Niemniej cała historia, w którą zostałam wtajemniczona, wywarła na mnie tak ogromne wrażenie, że przyprawiła mnie o zawrót głowy. Dosłownie.

Liam Kennedy w młodości miał romans z Trish, a z ich związku narodziła się Em. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że Trish przed własną córką udawała jej babcie, w dodatku nie informując o niczym biologicznego ojca dziewczyny. Brzmi nieprawdopodobnie, ale tak było. Trish uparcie twierdziła, że miała ważny powód, ale mnie tym nie przekonała. Uważałam, że naprawdę przesadziła, choć nie mnie to oceniać. Nie miałam do tego prawa. Ważne, że cały ten galimatias zakończył się dla wszystkich szczęśliwie.

– To nic ważnego – odpowiadam wreszcie zgodnie z prawdą.

Nie zamierzam bowiem nikomu, zwłaszcza Trish, zaprztać głowy moimi przemyśleniami. A już szczególnie tymi dotyczącymi jej samej. O wcześniejszych, związanych z moim poczuciem niedopasowania, też nie chcę mówić. Obawiam się, że Trish mogłaby nie zrozumieć. A Sara? Cóż, ona mogłaby się nawet obrazić, bo przecież w kółko powtarza, że stanowią część tej zacnej rodziny.

– Przepraszam was na chwilę – głos zabiera nagle Liam. – Mam ważny telefon.

– To nie może poczekać? – pyta Emma, unosząc brew i patrząc odważnie mężowi w oczy. Ostatnio jest taka drażliwa. To przez hormony, jestem o tym przekonana.

Powściągam uśmiech. Nie chcę, żeby któraś z obecnych tu osób niewłaściwie go zinterpretowała. Ale swoje myślę. Odkąd Em zaszła w ciążę, stała się surowsza i jeszcze bardziej wymagająca. Zwłaszcza wobec męża. Krótko mówiąc, chwilami ma facet przechlapane. Jednak w życiu nie powiem tego na głos. Wychodzę z założenia, że kobiety trzymają z kobietami – choćby nie wiem co! Życie mnie tego nauczyło.

– Niestety nie – odpowiada Liam, po czym odbiera już w drodze do innego pokoju, a zaraz potem znika nam z oczu.

Napotykam spojrzenie Sary. Ona zdaje się myśleć podobnie jak ja, choć także nic nie mówi. Nie chce drażnić szwagierki. Sama miała tę, jak dla mnie ciut wątpliwą, przyjemność bycia w stanie błogosławionym. Towarzyszyłam jej w tym czasie i doskonale pamiętam jej huśtawki nastrojów. Ale znosiłam je dzielnie, bo miałyśmy tylko siebie. Ona mnie, ja ją.

Tak, był taki czas.

– Sam? – dochodzi do nas wkrótce z pokoju obok, w którym dosłownie chwilę temu zniknął jego brat. – Możesz do mnie przyjść?

Głos starszego z braci brzmi oschle, jakby nie przyjmował odmowy, na co kolejny raz wymieniamy się z Sarą spojrzeniami.

Coś musiało się wydarzyć. Coś, co niekoniecznie może się podobać Sarze.

– Potrzyмай go, proszę – zwraca się Samuel do żony, ale ubiegam ją odpowiedzią:

– Ja go wezmę. Chodź do cioci.

Już wystawiam ręce do mojego siostrzeńca. Nie jesteśmy z Sarą siostrami, ale tak ją traktuję. A ona mnie, nazywając „siostrą z wyboru”.

Kocham tego malca. Sammy jest cudownym dzieckiem. W dodatku to naprawdę urokliwy młody człowiek – jak wszyscy w tej rodzinie, trzeba przyznać. Zarówno Sam, jak i jego starszy brat są zjawiskowi. Dobrze zbudowani, przystojni i bezapelacyjnie uroczy. Kobietom trudno się im oprzeć. Nie zazdroszczę Sarze i Emmie. Ja, gdybym była na ich miejscu, szalałabym z zazdrości o ten wianuszek kobiet, które dosłownie wszędzie – podczas posiłku w restauracji, w drodze do pracy czy na spacerze w parku – słały im powłóczyście spojrzenia. Ale na szczęście nie jestem ani Sarą, ani Emmą.

„A zajmowanie się małym Samuelem to czysta przyjemność” – stwierdzam bezgłośnie kolejny raz, uśmiechając się do dziecka.

– Stało się coś? – pyta z wyraźnym niepokojem Em, zanim całkiem dorosła wersja Sama wyjdzie.

– Trudno wyczuć – odpowiada spokojnie Sara, a jej mąż jedynie wzrusza ramionami.

Znam Sarę na tyle dobrze, aby stwierdzić, że pod maską obojętności, za jaką się właśnie skrywa, i ona odczuwa lekką niepewność. Najwyraźniej jednak nie chce denerwować ciężarnej szwagierki, która ma na twarzy wypisaną zarówno ciekawość, jak i strach.

– Może więc pójdę tam i...

– Nie. – Sara kładzie swoją dłoń na spoczywającej na stole ręce Em i patrzy jej w oczy. – Jeśli będą potrzebować pomocy którejkolwiek – mówiąc to, obejmuje nas wzrokiem – poproszą o nią.

Rozsądnie z jej strony, nie przeczę. Z tego, co zdążyłam zaobserwować, zarówno Liam, jak i Sam nie znoszą przesadnej troski. Możliwe, że wynika to z faktu, iż przez lata byli aż za*nadto* *zaopiekowani* przez dziadka. Z opinii obu braci Kennedych jasno wynikało, że pomoc seniora rodu była szeroko pojętym określeniem, która z samym pomaganiem miała niewiele wspólnego. W praktyce oznaczało to tyle, że narzucał im swoją wolę, a obaj wnukowie chcieli wreszcie podejmować własne, samodzielne decyzje.

– Pasuje ci, Di – słyszę nagle.

Najpierw spoglądam w dół na siebie, a potem na Trish, oczekując wyjaśnienia. Początkowo naiwnie się łudzę, że chodzi o nową sukienkę, którą włożyłam dziś na tę specjalną okazję – nie lubiłam tego typu kiecek, ale czego się nie robi dla rodziny. Po jej minie szybko wnioskuję, że nie

o mój outfit się rozchodzi, a o bawiące się suwakiem przy moim dekolcie dziecko, które trzymam w ramionach.

– Dziecko – dodaje, prawdopodobnie sądząc, że nie zrozumiałam aluzji.

Zrozumiałam. Aż za dobrze. Problem w tym, że ani teraz, ani w przyszłości nie zamierzałam zostać matką. Z dwóch oczywistych powodów. Pierwszym była moja przeszłość. Stare dzieje, zamierzchłe czasy, a jednak odcisnęły na mnie ogromne piętno. Trudno zapomnieć zarówno o tym, kim byłam, jak i o matce, dla której wydawałam się jedynie ciężarem. Tak, moja matka to drugi powód, przez który nie widzę się w roli rodzica.

Mniejsza o przeszłość i związane z nią bolesne wspomnienia. Nie chcę do nich wracać. A kolejnym, wręcz banalnym powodem, dla którego prawdopodobnie nie będzie mi dane spełnić się w roli matki, jest brak faceta. Nigdy nie byłam w stałym związku i teraz również nie chciałam być. Jest mi dobrze, jak jest. A mężczyźni – z tego, co zdążyłam zaobserwować na przykładzie obu braci Kennedych – to same kłopoty. Czarujący, szarmanccy, ale w wielu przypadkach to wyrośnięte dzieci. Niby tacy zaradni i silni, a gdy przychodzi co do czego, zachowują się jak gówniarze. Dowodem było chociażby zachowanie Sama sprzed miesięcy. Wybaczyłam mu już – obie z Sarą mu wybaczyłyśmy – ale wciąż doskonale pamiętam, jak ją wtedy potraktował. Ona zapewne również, choć mu tego nie wypomina.

– *Za co cię przymknęli? Jestem Diana. – Podaję jej dłoń.*

Odpowiada ostrożnym uściskiem, jakby się mnie bała. Wiele osób tak reaguje. I w sumie mnie to nie dziwi.

– Sara – mówi wreszcie. – To długa i skomplikowana historia.

– Nie chcesz, to nie mów. Ale nie wyglądasz na taką, która powinna się tutaj znaleźć.

Nadal, gdy o tym myślę, mam ochotę udusić Sama gołymi rękami. To nie było dojrzałe zachowanie.

– Ja, co prawda, miałam trochę więcej lat niż ty, kiedy urodziłam Em – kontynuuje Trish, czym znów zwraca na siebie moją uwagę – ale uważam, że z decyzją o macierzyństwie nie należy zbyt długo zwlekać.

Posyłam kobiecie miły, choć pozorowany uśmiech. Nie podzielałam jej opinii. Poza tym, o ile mi wiadomo, Trish była w wieku około menopauzalnym, gdy zaszła w ciążę ze swoją córką. Ja zaś mam raptem dwadzieścia siedem lat i sporo czasu, by...

„Dość!” – przerywam sobie bezgłośnie, nie dopuszczając do głowy kolejnych zbyt wielu, a zarazem niepokojących myśli. „Nie będę matką” – podkreślam jeszcze raz wyraźnie, z naciskiem na „nie będę”. Kropka.

– Na razie zamierzam się skupić wyłącznie na nim – mówię wymijająco, cmokając chłopca w czubek głowy. Bo jednak coś odpowiedzieć wypadało.

Wykorzystując fakt, że Sammy zaczyna się wiercić, wstaję z krzesła i oddalam się z nim od stołu. Mam nadzieję, że to wystarczy i że Trish zakończy temat mojego rzekomego macierzyństwa raz na zawsze.

Jak widać, poskutkowało, bo pani domu rozprawia już o czymś mało istotnym ze swoją córką, która raz po raz zerka na drzwi, za którymi zniknęli bracia. Emma wydaje się mocno zaniepokojona. Korzystając z tego, że jest zajęta rozmową z matką – właściwie mówi tylko Trish – wymieniam się spojrzeniami z Sarą. Uspokaja mnie wzrokiem, jakby się obawiała, że wdam się w niepotrzebną dyskusję z matką Em. Nie zamierzałam tego robić. Nie wypadało.

– Mogę cię prosić, kochanie? – Do jadalni zagląda Liam, na co Emma natychmiast podnosi się z krzesła i już zmierzza w stronę męża.

– Potrzebujemy twojej fachowej rady – dodaje Liam, zanim oboje znikają nam z oczu.

Kolejny raz spoglądamy na siebie z Sarą. Wiem, że nie czuje się pominięta – obie zdajemy sobie sprawę, że Emma przed laty była prawniczką. Prośba Liama nas nie dziwi. Zdaje się jednak, że obie jednocześnie wyczuwamy kłopoty.

– Edmundzie? – woła nagle Trish na kamerdynera, gdy rozlega się dźwięk dzwonka.

– Ja otworzę – proponuje Sara, gdy służący się nie zjawia, po czym wstaje od stołu i rusza w kierunku drzwi. Ledwie robi krok, a jak na zawołanie w progu pokoju staje Sam.

– Mogę cię prosić na słówko, kochanie? – pyta.

– Leć – wtrącam się, uprzedzając Sarę, która chyba miała zamiar tłumaczyć mężowi, że najpierw ma coś innego do ogarnięcia. – Otworzę.

Kiedy kiwa głową i odchodzi, ja z malcem na rękach ruszam w stronę korytarza. Gong rozlega się ponownie dokładnie w chwili, gdy otwieram drzwi. Mężczyzna, który stoi na progu, omal na mnie nie wpada – chyba właśnie zamierzał zapukać.

– Pali się? – pytam wprost, na co on otwiera i zamyka usta. Może nie zrozumiał żartu, więc dodaję: – Pan do kogo?

Nieznajomy nadal milczy, ale zauważam, że wodzi wzrokiem raz po mnie, raz po Samuelu juniorze, który z uporem maniaka bawi się suwakiem mojej sukienki.

– Nazywam się...

Już mam mu powiedzieć, że właściwie nie mnie powinien się przedstawiać, tylko wyjaśnić, co go tu sprowadza – o ile mi wiadomo, nikt z rodziny Kennedych nie spodziewał się dziś dodatkowych gości, to kameralna impreza – gdy nagle wydarza się coś, na co nie byłam gotowa...

„Sammy, mały łobuziak! Coś ty narobił?”



Dylan

Nadal mam spore obiekcje co do tego wyjazdu. Uległem matce, ale wciąż uważałem, że to nienajlepszy pomysł. Miałem powody, by tak czuć. Jednak dałem jej słowo i nie było już odwrotu.

Stoję właśnie pod drzwiami tego olbrzymiego domu. Matka wspominała, że niejaki Liam Kennedy był mającym człowiekiem, ale nie sądziłem, że aż tak bogatym. Już sama posiadłość wyraźnie na to wskazuje.

To nie jest zwykły dom – to prawdziwy pałac. Olbrzymi, majestatyczny, piękny w każdym detalu. Od fasady po dach. Od okalającego całe obejście ogrodu aż po wnętrze – już na werandzie zauważyłem przepych. Podwójne drzwi nie tylko wydawały się solidne i ciężkie – wyglądały jak z innej epoki. Kolumny podtrzymujące sufit przypominały te z Pantheonu – masywne, niezwykle okazałe, robiące ogromne wrażenie. Moją uwagę przykuwały też inne detale: kamienne ławeczki ustawione pod ścianą przy wąskich oknach upstrzonych kolorowymi witrażami czy zjawiskowe klomby z płożącymi, intensywnie pachnącymi kwiatami.

„Tak nie mieszka zwykły zjadacz chleba” – stwierdzam w myślach. „A my z mamą o takim życiu mogliśmy tylko pomarzyć”.

Wciskam kolejny raz dzwonek i przez chwilę zastanawiam się, czy mieszkańcy celowo zignorowali poprzedni – z krezusami różnie bywa. Większość z nich z pewnością nie szanuje ludzi z niższych warstw społecznych. Dlatego nie mam zbyt dobrego zdania o arystokracji. I nie chodzi mi wyłącznie o to, czego niedawno dowiedziałem się od matki, choć to niewątpliwie miało duży wpływ na moją opinię o bogaczach.

Podnoszę rękę zaciśniętą w pięść i już mam zapukać, gdy naraz drzwi się otwierają. W progu zamiast starca widzę przyglądającą się mi wnikliwie blondynkę. Jest młoda – na moje oko nie przekroczyła trzydziestki. I ma na rękach dziecko.

„Czyżby kolejne trofeum szacownego pana Kennedy’ego?” – przemyka mi złośliwie przez głowę. „I nowy dziedzic?”

Znawcą nie jestem, ale wydaje się bardzo młoda, zdecydowanie za młoda jak na żonę takiego starego pryka. A sam Liam Kennedy jest przecież za stary na ojca tak małego dziecka.

– Pali się? – pada pytanie, które brzmi jak zarzut. Nie zdążam go skomentować, bo kobieta dodaje oschle: – Pan do kogo?

– Nazywam się...

Nie zdołam dokończyć, bo w tej samej chwili malec – na moje oko chłopiec – pociąga za suwak przy dekolcie

sukienki blondynki, przez co odziane w niewiele zasłaniającą koronkę piersi ukazują się moim oczom w pełnej krasie.

„Trzeba przyznać ojczulkowi, że ma wysublimowany gust, bo jego nowa zdobycz ewidentnie ma czym oddychać” – myślę z przekąsem.

– Jasna cholera!

Kobieta natychmiast próbuje odzyskać kontrolę, choć – jak widać – robi to nieskutecznie. Szarpie za suwak raz po raz, ale chyba się zaciął, bo zamek ani drgnie.

Sytuacja z każdą sekundą wydaje się coraz bardziej zabawna, wręcz przekomiczna, a ja z narastającym zainteresowaniem i w dodatku z niekontrolowanym uśmiechem na ustach obserwuję, jak dziewczyna o wyglądzie lalki Barbie próbuje ogarnąć jednocześnie sukienkę, której suwak sięga teraz jej pępka, oraz dziecko, które wcale jej nie ułatwia, bo właśnie wplątało paluszki w jej rozpuszczone włosy i ciągnie je z całej siły.

– Auć, puść! – jęczy blondynka. – Cholera!

Wtedy się reflektuję i proponuję pomoc. Nie jestem sadystą, by patrzeć obojętnie, jak nieudolnie próbuje się pozbiierać. Choć nie przeczę – widok, jaki mi zaoferowała, jest całkiem interesujący. Zanim jednak to robię, upominam ją:

– Nie należy przeklinać przy dzieciach.

Zaskoczona moim przytykiem dziewczyna próbuje coś powiedzieć, ale ubiegam ją:

– Mogę go potrzymać. A ty... – Tak, wiem, nie znam jej, więc nie powinienem sobie pozwalać na takie spoufalanie,

ale zwyczajnie mi się wymknęło. – Doprowadź się do porządku.

Zanim cokolwiek odpowie – wygląda na szczerze zaskoczoną – odbieram od niej dziecko, uprzednio rozluźniając jego uczepione włosów paluszki. Kobieta nie oponuje, co w sumie brałem pod uwagę, tylko natychmiast chwytą za suwak i gdyby mogła – rzecz jasna – to podciągnęłaby go niemal pod samą brodę.

– Proszę mi go oddać – mówi, gdy akcja kończy się sukcesem.

Zanim jednak odbierze ode mnie malca, ten wybucha głośnym płaczem.

Wtedy zbiega się tu kilka osób: dwie kobiety, dwóch postawnych mężczyzn. I pies. Przez chwilę zastanawiam się, które z nich jest groźniejsze, bo każde wygląda, jakby miało ochotę mnie zamordować. Szybko typuję jedną z brunetek – niewysoką i drobną, ale ewidentnie gotową rzucić się na mnie z pięściami. Ostatecznie jednak atakuje mnie ktoś inny: miniaturowe zwierzę doskakuje do moich nóg i zaczyna szarpać zębami nogawkę.

– Co pan robi mojemu synkowi?! – naskakuje na mnie ciemnowłosa kobieta i wrywa mi dziecko z rąk.

– Kim pan jest, do cholery?! – podnosi głos jeden z mężczyzn, zaciskając dłonie w pięści.

Jadąc tu, nie spodziewałem się czerwonego dywanu ani otwartych szeroko ramion, ale takiego powitania nie przewidziałem.

– Nico, zostaw – mówi do psa łagodniejszym tonem drugi z mężczyzn, ale i on nie spuszcza mnie z oczu. Patrzy tak, jakby tylko czekał na idealny moment, żeby mi przyłożyć.

„Może i dałbym radę obydwu – w końcu przez lata amatorsko trenowałem sztuki walki – ale nie przyjechałem tu, żeby się bić. Z kimkolwiek!”

Prowadząc ten bezgłośny monolog, próbuję strzepnąć z nogawki zwierzę, jednocześnie nie robiąc mu krzywdy. Wtedy facet, który je upominał sekundę temu, wreszcie się pochyla i odczepia psa od moich spodni.

– Dzięki – mówię, kiedy podnosi tego małego, wciąż szczerzącego do mnie kły paskudnika. W końcu odpowiadam też na postawione mi wcześniej pytanie: – Dylan. Mam na imię Dylan – powtarzam, bo moje słowa zdają się nie robić na nikim wrażenia. Wszyscy tylko patrzą na mnie nieufnie. – Dylan Young – dodaję, choć właściwie powinienem przedstawić się jako Kennedy i mieć to wreszcie za sobą. Ale ograniczam się jedynie do stwierdzenia: – Jestem bękartem, którego spłodził niejaki Liam Kennedy. Przyjechałem tu tylko po to, żeby...

Nie jest mi dane dokończyć, bo druga z brunetek nagle blednie i gdyby nie szybka reakcja mężczyzny, prawdopodobnie by upadła.

– Em, kochanie! – Ten sam facet, który jeszcze przed chwilą ratował moje spodnie, odstawia psa i dosłownie łapie ją w ostatnim momencie, zanim osunie się na podłogę. – Nic ci nie jest?

– Widzisz, co narobiłeś! – naskakuje na mnie piersiasta blondynka.

„No proszę. Teraz się stawia?” – wprost nie mogę uwierzyć. „A jeszcze chwilę temu wydawała się taka nieporadna” – po głowie przelatuje mi złośliwa myśl.

– Wszystko w porządku – odpowiada ta, która omal nie zemdląca. – Muszę się tylko napić wody, Liamie.

– Liamie? – powtarzam z niedowierzaniem.

Spoglądam na młodego mężczyznę. Nie jest już młokosem, ale do starości jeszcze mu bardzo daleko. Dlatego nijak nie pasuje mi do wizerunku sędziwego starca, którego spodziewałem się tu zobaczyć.

Mama przez całe życie skąpiła mi szczegółów dotyczących mojego biologicznego ojca – właściwie kompletnie nic o nim nie wiedziałem. Dopiero przed śmiercią stała się bardzo wylewna. Nie szczędziła nawet niuansów dotyczących jego wyglądu – twierdziła, że zaraz po mnie był najprzystojniejszym facetem, jakiego знаła. Rozczulała się, opowiadając mi o nim godzinami, co w moim odczuciu świadczyło o tym, że pomimo iż ją bardzo zranił, kochała go przez całe życie.

– Co się tutaj dzieje?

Nagle dołącza do nas kolejna osoba – wiekowa kobieta o siwych włosach, wspierająca się o lasce, która – mam nadzieję – służy jej do pomocy, nie przemocy. Nie wiedzieć czemu, ale odnoszę wrażenie, że nikt z obecnych nie ma wobec mnie pokojowych zamiarów.

– Emmo, córeńko! – woła przerażona.

Nie wiem, kim jest, kim są ci wszyscy ludzie. Mama nie wspominała mi o żadnym z nich. Opowiadała tylko o krótkim, lecz płomiennym romansie z Kennedym. O jego rzezkomych krewnych – sądzę, że właśnie z nimi mam do czynienia – nie powiedziała ani słowa. Może nie wiedziała o ich istnieniu? Albo *zapomniała* mi o nich napomknąć.

Mama i Liam poznali się podczas rejsu na Karaiby na statku wycieczkowym. Ona pracowała tam w charakterze stewardessy, on był w podróży służbowej. Podobno zaiskrzyło między nimi od razu. Ze względu na szacunek do rodzicielki niezręcznie było mi tego słuchać, ale niewątpliwie między kochankami zrobiło się naprawdę gorąco – kilka opowieści było bardzo pikantnych. Niestety wraz z końcem rejsu płomienny romans się skończył, a czar prysł. Kennedy pożegnał się i słuch po nim zaginął. A mama została sama z *delikatnym problemem*. Z owocem miłosnej przygody, który nosiła pod sercem.

Teraz jednak nie ta myśl, a nawet nie żale z przeszłości zaprzatają mi głowę. Nurtuje mnie coś innego. Naprawdę nie wiedziałem, że Liam Kennedy miał rodzinę. Gdybym był tego świadom, nie dałbym się namówić matce na tę szopkę. Nieba bym jej przychylił, lecz w coś takiego bym się nie wpakował. Byłem na to zbyt honorowy.

Ale ponieważ nie usłyszałem z ust mamy całej prawdy o Kennedym, przed śmiercią wymusiła na mnie obietnicę. Miałem odnaleźć człowieka, który mnie spłodził, i przekazać

mu wieść o swoim istnieniu. Potem mogłem zrobić, co uznaję za stosowne. Zamierzałem spełnić jej ostatnią wolę, spojrzeć w oczy człowiekowi, który był tylko wspomnieniem mojej matki, a następnie odejść – cicho, niezauważony, jak przez całe dotychczasowe życie. Tymczasem, jak widać, to ostatnie wydaje się niemożliwe, bo sprawy z minuty na minutę komplikują się coraz bardziej.

– Właściwie nadal nie wiemy, kim jesteś – odzywa się mężczyzna o ciemnych włosach.

Ten drugi, blondyn zwany Liamem, właśnie wynosi na rękach zasłabłą kobietę. Tuż za nim podąża staruszka, a za nimi kolejna brunetka z dziecakiem na rękach oraz psem przy nodze.

– I czego od nas chcesz – dodaje.

Zostajemy tu już tylko we troje. Ja, on i blondynka, którą początkowo wziąłem za żonę mojego ojca. Ta teoria właściwie upadła, gdy pojawiła się staruszka z laską – to ona zdaje się bardziej pasować do faceta pod dziewięćdziesiątkę. Właściwie nie mam pojęcia, ile w istocie może mieć lat Liam Kennedy, bo mama też niewiele o nim wiedziała. Wydedukowałem to w oparciu o nieliczne informacje, jakie od niej uzyskałem.

– Niczego nie chcę – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Przyjechałem tylko spojrzeć w oczy człowiekowi, który uwiódł moją matkę i mnie spłodził – dorzucam, rozglądając się wymownie, jakby za moment ten wyłącznie z nazwy ojciec miał wyjść z za rogu.

Chcę jeszcze dodać, że to było ostatnie życzenie mojej matki, ale facet ubiega mnie stwierdzeniem:

– Niestety muszę cię rozczarować. Nie spojrzysz mu w oczy, bo umarł. Dziś dziadek miałby...

– Dziadek?

Dopiero teraz naprawdę do mnie dociera, że człowiek, który w zasadzie był dla mnie nikim, w czasie kiedy ja i moja mama klepaliśmy biedę, wiódł tutaj sielskie życie otoczony wianuszkami bliskich mu osób. Instynktownie zaczynam wyliczać je w myślach:

„Żona...” – nabieram coraz większej pewności, że była nią ta stara kobieta.

„Dzieci...” – choć tych chyba jeszcze nie było mi dane ujrzeć, pewnie miał je właśnie z nią.

„Wnuki...” – jeden z nich stoi przede mną, więc tutaj wszelkie domysły są zbędne.

„Może nawet prawnuki?” – dorzucam jeszcze bezgłośnie, przypominając sobie dziecko, które początkowo brałem za swoje potencjalne rodzeństwo.

Stojący na wprost mnie mężczyzna potwierdza skinieniem głowy. Może wyolbrzymiam, ale przez ułamek sekundy jego rysy łagodnieją, choć nie dalej jak parę minut temu miał wyraźną ochotę sprać mnie po gębie.

– Samuel Kennedy. – Zaskakuje mnie coraz bardziej, gdy wyciąga dłoń, a ja z wahaniem ją przyjmuję. Następnie przedstawia przypatrującą się nam w milczeniu blondynkę. – A to Di. Należy do...

– Jestem przyjaciółką jego żony – wchodzi mu wówczas w słowo kobieta, która raczej nie ma ochoty na uścisk... dłoni.

„Tak, właśnie to miałem na myśli. Wyłącznie!”

– Nie bądź taka skromna, Di. Jesteś kimś więcej – dodaje Samuel.

Robi się coraz ciekawiej. I całkiem możliwe, że mój pierwszy osąd nie był aż tak chybiony, jak mi się wydawało. Może to popaprane, ale chyba właśnie pomyślałem o trójce. Dziś wiele się o tym słyszy. Otwarte związki już prawie nikogo specjalnie nie dziwią. Zwłaszcza celebrytów.

Weźmy na przykład Willa Smitha, aktora znanego z wielu kultowych i prestiżowych ról, oraz jego żonę Jadę Pinkett Smith. Tych dwoje jakiś czas temu otwarcie mówiło o tym, że żyją w dość nietypowym związku, dając sobie nawzajem wolność. W dodatku Smith publicznie pobłogosławił romanse żony, podkreślając, że nie chcą, by ich małżeństwo było „więzieniem”.

– Daj spokój, Sam. – Dziewczyna wyraźnie próbuje zamknąć mu usta, więc utwierdzam się w przekonaniu, że się nie pomyliłem.

– Jesteś jak rodzina – pada stwierdzenie.

Trochę mi głupio. Chrząkam wymownie, co nie uchodzi uwadze obojga.

– Nie wiem, co sobie pomyślałeś – odzywa się blondynka, tym razem zwracając się wyłącznie do mnie – ale nie podoba mi się to, co robisz.

– A według ciebie co niby takiego robię? – Unoszę brew, na co stojący obok facet marszczy czoło.

– Lepiej mu coś powiedz, Sam, bo...

– Dobra! – Mężczyzna unosi ręce w obronnym geście. – Wejdźmy do środka, porozmawiajmy na spokojnie. I zacznijmy od nowa.

– Ale...

Właściwie powiedzieliśmy to jednocześnie – oburzona na mnie kobieta również chciała dodać coś od siebie. Ja zaś zamierzałem tylko oznajmić, że skoro facet od plemników nie żyje, to nic tu po mnie. W przeszłości, kiedy zastanawiałem się, kto mnie spłodził, zdarzało mi się go tak nazywać – oczywiście, kiedy mama nie słyszała.

– Skoro twierdzisz, że jesteśmy rodziną – odzywa się ponownie młody Kennedy – to chyba powinniśmy pogadać. Mamy sobie sporo do wyjaśnienia. I jeszcze więcej do ustalenia.

Ja tak nie uważam. Jestem nawet zupełnie innego zdania. Ale nie zamierzam się o to spierać, zwłaszcza stojąc w progu czyjegoś domu. Poza tym co mi zależało? To tylko luźna rozmowa. Przecież nie mam nic do stracenia. Mogę jedynie zyskać. I nie chodzi mi o korzyści finansowe, lecz o wiedzę. Ciekawi mnie bowiem, co takiego mieli ci wszyscy ludzie, czego brakowało mnie? Bo przecież byłem jednym z nich.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

PUKANIE DO DRZWI, KTÓRE ZMIENIA WSZYSTKO

Urodziny założyciela rodu Kennedych miały zostać uczczone tylko rodzinnym obiadem. Przy stole wdowa Trish, wnukowie i mały Sammy. Sielankę przerywa pojawienie się Dylana – nieślubnego syna Liama seniora. Los chce, że drzwi otwiera mu Di, „siostra z wyboru” i powiernica rodziny. Jedno spojrzenie wystarczy, by między nowymi znajomymi zaiskrzyło, by rozpalił się płomień mocniejszy niż ogień świeczek na jubileuszowym torcie!

Dylan nie chce fortuny ani nazwiska. Chce tylko spokoju, który obiecał umierającej matce. Jednak przypadkowy dziedzic zamiast odprawy otrzymuje... hotel prezesa i biuro, w którym czeka na niego jego prawa ręka, Di. Choć dziewczyna błyskawicznie zawraca mu w głowie, Dylan ma przeczucie, że w świecie Kennedych nic nie jest za darmo.

Czy **biurowy romans i rodzinne intryki** to okoliczności, w których Dylan potrafi wygrać? I co naprawdę kryje się za uprzejmością braci, którzy tak chętnie oddali mu władzę?

Patroni medialni:



☺ CUTE
☺☺ SENSUAL
☺☺☺ SPICY
☺☺☺☺ DARK

**editio
red**
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-3752-9



9 788328 937529

czarna-09